

ZUS a rynek pracy



Dawno temu pewien król wezwał przed swe oblicze syna i kazał mu przełamać więzkę chrustu. Młodzieniec, chcąc popisać się przed ojcem natężył wszystkie siły, ale bezskutecznie. Zawstydzony przyznał się do porażki. A wtedy władca zaczął wyciągać pojedyncze gałązki, łamiąc je bez trudu. Szkoda, że reformatorzy polskiej gospodarki, którzy zatomizowali jej strukturę podmiotową zapomnieli jak brzmi morał tej bajki.

Na początku transformacji ustrojowej obowiązywał dogmat o swoistym przeindustrializowaniu gospodarki socjalistycznej i konieczności jej dość drastycznej deindustrializacji. W oczach reformatorów recesja przestała być zjawiskiem negatywnym, lecz dobrodziejstwem oczyszczającym gospodarkę i poprawiającym strukturę produktu globalnego. W praktyce polegało to na wystawieniu polskich producentów na konkurencję renomowanych firm światowych oraz prywatyzację, której następstwem była likwidacja przedsiębiorstw państwowych i wyprzedaż spółek skarbu państwa. Spośród ponad 6 tysięcy wielkich, zatrudniających dziesiątki tysięcy osób, podmiotów gospodarczych unicestwiono prawie wszystkie. Teraz przyszła kolej na prywatyzację placówek służby zdrowia, komercjalizację i wyprzedaż uzdrowisk, które miały pozostać własnością publiczną. Wkrótce zostaną sprzedane lasy państwowe, zasoby ziemi i już nie będzie na czym robić dobrych interesów. Proces dewastacji sektora publicznego przyniósł spadek jego udziału w tworzeniu PKB z około 50 proc. na początku lat 90. XX wieku do kilkunastu procent. Na ogólną liczbę 252 tys. przedsiębiorstw prowadzących działalność w 1993 r. ponad 5 tys. stanowiły duże przedsiębiorstwa w sektorze publicznym. Według stanu na koniec grudnia 2013 r. w rejestrze Regon zarejestrowanych było 4070 tys. podmiotów gospodarczych (16 razy więcej). Były to w większości (2962 tys.) małe jednostki należące do osób fizycznych. W sektorze publicznym funkcjonowało łącznie 346 jednostek (165 przedsiębiorstw państwowych i 181 jednoosobowych spółek Skarbu Państwa), w tym tylko w 307 podmiotach zatrudnienie wynosiło 1000 i więcej osób.

Po dwudziestu trzech latach restrukturyzacji i modernizacji polskiej gospodarki narodowej nasz PKB w ujęciu realnym wzrósł dwukrotnie, przy czym po trzech kwartałach 2013 r. udział przemysłu w produkcji dodanej wyniósł 21 proc., budownictwa 6 proc., sektora agrarnego poniżej 3 proc. (w 1990 r. odpowiednio: 45, ponad 9 i ponad 7 proc.). Dane statystyczne sugerują, że oszczędności są w Polsce za niskie w stosunku do realizowanych inwestycji – źródłem ich finansowania są środki zagraniczne (unijne i inwestycje bezpośrednie). To staje się jednak powodem narastającego uzależnienia od zasilania z zagranicy. Swobodny kurs własnej waluty na razie łagodzi skutki takiej polityki, ale ich nie eliminuje. Do tej kwestii nawiązał Jerzy Żyżyński: trzeba budować silny własny przemysł eksportowy produkujący dobra końcowe zawierające wysoką wartość dodaną. Ta produkcja powinna być realizowana przez własne, krajowe przedsiębiorstwa, gdyż wtedy wypracowane zyski pozostaną w kraju i będą służyły jego rozwojowi. Wyprzedaż własnych mocy produkcyjnych kapitałowi zagranicznemu (wynaradawianie gospodarki) w nadziei, że on ją dokapitalizuje i stworzy potencjał eksportowy, było naiwnością i świadczy o wysokiej niekompetencji autorów i wykonawców tej polityki.

Przejęcie kontroli nad kluczowymi dziedzinami produkcji i usług przez zagranicznych inwestorów zwiększyło obroty korporacyjne, a tym samym zdynamizowało wymianę z zagranicą, ale nie

poprawiło w pożądanym stopniu konkurencyjności polskich producentów na rynkach światowych. Nowe technologie udostępnione przez inwestorów strategicznych zwiększyły wydajność pracy (z ok. 40 proc. do 70 proc. średniej Unii Europejskiej), równocześnie wydłużył się (nieewidencjonowany) czas pracy i wzrosła z 14 proc. do 18 proc. kapitałochłonność inwestycji. Te czynniki trwale ograniczają zapotrzebowanie na pracę żywą; na jedną ofertę pracy przypada obecnie 70 bezrobotnych zarejestrowanych w urzędzie pracy (a większości województw wskaźnik ten jest znacznie wyższy). Od kilku lat co siódmy Polak bezskutecznie poszukuje pracy etatowej. Z badania ekonomicznej aktywności ludności (BAEL) w wieku 15-74 lata wynika, że co 10 Polak w tym przedziale wiekowym nic nie zarobił w tygodniu, w którym prowadzono badanie. Strukturalny brak stabilnych miejsc pracy leży w interesie transnarodowych korporacji, pod warunkiem utrzymywania stopy bezrobocia w bezpiecznych granicach (13-16 proc.). Nader liczne, ostro konkurujące ze sobą średnie i małe firmy mają trudności ze zbytem swoich wyrobów. Napotykając na barierę popytu, nie są w stanie ponosić pełnych kosztów zatrudnienia pracownika, zgłaszają do ubezpieczenia jedynie minimalne wynagrodzenia, a jeśli można – korzystają z derogacji w opłacaniu składek. Wyjaśnia to powody, dla których średnia podstawa wymiaru składki emerytalnej obniżyła się ze 100 proc. kwoty bazowej w 1999 r. do ok. 63 proc. obecnie.

Nie można także zapominać, że na sytuację sektora finansów publicznych (w tym na wielkość dotacji do FUS) ma negatywny wpływ rozrost szarej i czarnej strefie, gdzie według szacunków Eurostatu powstaje 25-30 proc. polskiego PKB. Jest to kwota rzędu 400-500 mld zł, od której nikt nie płaci ani podatków ani składek na ubezpieczenia społeczne.

W lipcu 2013 r. pojawiła się (wydana jednorazowo) publikacja GUS: „Jakość życia. Kapitał społeczny, ubóstwo i wykluczenie społeczne w Polsce”. Zamieszczone tam wyniki badania spójności społecznej są alarmujące. W kraju, który chlubi się 23 pozycją w rankingu PKB i zajmuje 43 miejsce w rankingu wskaźników charakteryzujących jakość życia, ubóstwo (rozumiane jako niski poziom dochodów) dotyczy 24 proc. mieszkańców wsi i ok. 11 proc. mieszkańców miast. Szczególnie narażone na ten typ ubóstwa są gospodarstwa domowe z osobami bezrobotnymi (ok. 37 proc.) oraz gospodarstwa rencistów (ok. 38 proc.). Znacznie lepiej prezentuje się sytuacja emerytów, wśród których odsetek osób dotkniętych ubóstwem dochodowym jest ponad trzykrotnie mniejszy niż we wspomnianych wyżej grupach. Większość z nich otrzymuje klasyczne świadczenia, złożone z części stanowiącej osłonę socjalną (24 proc. kwoty bazowej) oraz indywidualnie wypracowanej. Jednak wszyscy urodzeni po 31 grudnia 1953 r., którzy nabędą uprawnienia emerytalne w systemie zdefiniowanej składki (a taki system wchodzi w życie w bieżącym roku) otrzymają emerytury wprost proporcjonalne do wartości składek i odwrotnie proporcjonalne do oczekiwanej długości życia. Co to oznacza konkretnie?

Osoba, która przez 25 lat opłacała składkę emerytalną w wysokości 400 zł zdoła zgromadzić 120 tys. zł (400x12x25). Te pieniądze muszą wystarczyć na przeżycie ok. 197 miesięcy (tyle bowiem wynosi oczekiwana długość życia osoby w wieku 67 lat według komunikatu GUS z 2013 r.). Oznacza to, że emerytura takiej osoby wyniesie ok. 613 zł, a ponieważ emerytura gwarantowana przez państwo to obecnie ok. 831 zł (ok. 665 zł na rękę), trzeba będzie z pieniędzy podatników uzupełnić świadczenie do kwoty ustawowo gwarantowanej.

Za lat kilkanaście większość emerytur (a w konsekwencji również rent rodzinnych) będzie równa minimum gwarantowanemu przez państwo. Osoby, które skorzystały z emerytury częściowej, pozostały członkami OFE oraz wszyscy z krótszym niż 25 lat stażem ubezpieczeniowym nie dostaną nawet kwoty minimalnej. Po kilkunastu latach, jeśli nie uda się przywrócić klasycznych emerytur, nędza w Polsce przybierze rozmiary klęski humanitarnej.

Grażyna Ancyparowicz

fot. T. Gutry